

Ludzie jeżdżą, to chyba mógłbym i ja. Ledwo się w mojej głowie załęgnał ten pomysł, a już jego realizacja niespodziewanie sama spadła z nieba.

– Czy nie pojechałbyś do Niemiec jako tłumacz? – zadzwonił któregoś dnia kolega. – Znam firmę, która prowadzi tam budowy. Ja będę kierownikiem jednej z nich, ale nie znam niemieckiego.

Nie namyślałem się długo i za kilka dni pojechaliśmy do siedziby wspomnianej firmy, gdzie przyjął nas jej właściciel o posturze beczułki.

– Zaraz sprawdzę, czy pan zna niemiecki – powiedział do mnie na przywitaniu. – To jest umowa po niemiecku. Niech pan ją przetłumaczy. Ja wszystko wiem, co tam jest napisane – ostrzegł i podał mi kilka zadrukowanych kartek.

Umowa zaczynała się typowo: „Düsseldorf, dnia..., spisana pomiędzy...”. Nim doszedłem do tłumaczenia konkretów, grubasek był już zadowolony.

– Widzę, że język pan zna, więc pan pojedzie – zdecydował. – Tam jest niemiecki majster, który pilnuje roboty, a pan z kolegą będziecie pilnować jego, żeby mnie nie kantował. Tamte szwabry mnie oszukują. Jak w umowie jest napisane, że za daną robotę ma być dwa tysiące marek, to oni płacą tylko półtora tysiąca. Stale wymyślają jakieś korekty. Kantują mnie i już!

– A może w umowie jest tak napisane? – zapytałem.

– No to sprawdźcie tę umowę i poinformujecie mnie – zakończył.

– Pan wie, że na pracę w Niemczech potrzebne jest zezwolenie? Czy pan je załatwi? – zapytałem..

– Jasne! Przynieś mi pan tylko paszport. Załatwimy wszystko – odpowiedział.

W ustalonym dniu stawiliśmy się z kolegą w punkcie, skąd autobus zabierał pracowników wyjeżdżających do Niemiec. Byli to ludzie z okolicznych wsi, przyuczeni do budowlanki w zawodówkach lub przez ojców przy budowach swoich domów. Prawie wszyscy pracowali już w Niemczech, niejedyn nawet w tej firmie i mieli zagraniczne obycie budowlane.

Usadowiliśmy się w autobusie, szef rozdawał paszporty i zagadywał nas familiarnie:

– No jak, chłopaki? Fłaszki na drogę macie? A coś do przepicia też?

Odpowiedział mu potwierdzający pomruk.

Obejrzałem mój paszport, ale nie znalazłem w nim zezwolenia na pracę.

– Gdzie jest zezwolenie? – zapytałem szefa.

– Nie zdążyliśmy załatwić, ale zrobimy to w Kolonii. Niech się pan nie martwi – odpowiedział.

Mimo, że wiedziałem, na jakie kłopoty się narażam, postanowiłem jechać, bo naiwnie wierzyłem, że ze-

zwolnienie zostanie załatwione w Niemczech.

Autobus ruszył i butelki z wódką też poszły w ruch.

– To pon będzie nosym kierownikiem? – zagadnął mnie sąsiad i podsunął kieliszek.

– Ja nie, tylko on – pokazałem na kolegę i wypilem co mi nalano. – Ja będę tłumaczem.

– No! Ponie kierownika! Nopijcie się! – zawołał sąsiad do kolegi i nalał mu od serca.

Kolega wypił zachowując twarz prawdziwego budowlanca.

Po ciężkiej nocy, skacowani dotarliśmy na naszą budowę, która była prawie w centrum Düsseldorfu. Zakwaterowanie mieliśmy w starym budynku w jej pobliżu. Ściany w pokojach były odrapane, łóżka piętrowe, kuchnia i łazienka zdewastowane, ale jakoś mieszkać było można.

Od jutra miałem zacząć współpracę z niemieckim majstrem i wypadałoby mi znać jego nazwisko.

– Jak nazywa się ten niemiecki majster? – zapytałem jednego z weteranów budowy.

– Otta – odpowiedział.

Choć to nazwisko brzmiało mało niemiecko, to nie dopytywałem o nic więcej.

– Dzień dobry panie Otta! – powitałem go nazajutrz.

– Lothar! Nazywam się Lothar – usłyszałem w odpowiedzi.

Majster był trochę starszy ode mnie, zwalisty i nie bardzo przejmował się pracą. Co rano, przy mojej pomocy rozdzielał roboty, a potem szliśmy do jego baraczk. Miał tam w lodówce wódkę i dzień zaczynał od kielicha na „umycie zębów”.

– Jak się u was mówi przy takiej okazji? – zapytał kiedyś.

– Zdrowie na budowie! – odpowiedziałem.

– Zdhowi na budowi! Tak? – wydukał.

– Tak – pochwaliłem jego zdolności językowe.

Lothar zużywał w ciągu dnia na mycie zębów prawie całą butelkę, a po pracy jechał samochodem około czterdzieści kilometrów do domu. Tak było codziennie i aż dziw, że policja jeszcze go nie złapała. Poza tym był w porządku. Pilnował roboty nie czepiając się drobiazgów, załatwiał co trzeba, a w wolnych chwilach przysypiał w swoim baraczk. Był alkoholikiem i obawiałem się, że dłuższe przebywanie z nim doprowadzi mnie do tego samego.

Żeby tego uniknąć, po porannych rozprawieniach uciekałem do naszej kwatery, gdzie razem z kolegą sprawdzaliśmy tamtą nieszczęsną umowę, w wyniku której Niemcy podobno nas kantowali. Czytaliśmy ją zdanie po zdaniu i prędko odkryliśmy, że była źle przetłumaczona. Tak źle, że sposób rozliczania robót był inaczej zapisany w niemieckim oryginale niż w polskim tłumaczeniu. Po kilku dniach zadzwoniłem

do szefa i powiedziałem mu o tym.

– Ja tego tłumacza zabiję! – usłyszałem jego sapanie. – Czy jest pan pewny, że tłumaczenie jest złe? Może to pan źle tłumaczy?

– Według mnie jest złe – uciałem. – Może pan dać je do sprawdzenia jeszcze komuś innemu.

– To pilnujcie, żeby chociaż obmiary dobrze robili – odpowiedział. – Ja niedługo przyjadę do Niemiec, to będę załatwiał aneks do niej.

W czasie rozmowy nie wspomniał o moim zezwoleniu na pracę, a ja też zapomniałem go o nie zapytać. Jego brak bardzo mnie niepokoił, mimo to postanowiłem poczekać do pierwszej pensji. Pieniądze przywiózł zastępca szefa, ale wypłacił mi tylko połowę należności.

– Kiedy dostanę resztę? – upomniałem się.

– Jak tylko dostaniemy to, co Niemcy są nam winni – odpowiedział i wyszedł.

– Chyba za kilka dni wyjadę, bo mi nie płacą – powiedziałem Lotharowi jeszcze tego samego dnia.

– Za kilka dni wyjedziecie wszyscy, bo nam inwestor też jest winien pieniądze i chyba przerwiemy roboty – odpowiedział.

Tak się też stało i po tygodniu byliśmy już w Polsce.

Za dwa tygodnie zadzwonił do mnie szef firmy. Powiedział, że prace wznowiono i że mam jechać do Niemiec.

– Nie otrzymałem całej wypłaty. Pojadę po otrzymaniu reszty pieniędzy – powiedziałem twardo.

– Skąd ja panu wezmę marki? Nie dostałem jeszcze z Niemiec pieniędzy – odpowiedział.

– Niech pan kupi w kantorze – upierałem się.

– No dobra. Proszę być w niedzielę przy autobusie – zakończył..

W niedzielę przy autobusie znowu spotkała się cała załoga. Właściciel firmy znowu zapytał pracowników o flaszkę na drogę, a ja zapytałem go o pieniądze.

– Dostanie pan w Niemczech – zbył mnie.

– No to nie jadę – opowiedziałem.

– To nie jedź pan! – warknął i wyskoczył z autobusu.

Za nim wyskoczyłem ja i wróciłem do domu

Po kilku dniach zadzwoniła sekretarka z wiadomością, że pieniądze dla mnie są. Powiedziała też, że szef chciałby, bym pojechał na budowę. Odbierając zaległą wypłatę, zapytałem o zezwolenie na pracę. Sekretarka nic o nim nie wiedziała, a na domiar złego właściciel wyjechał na kilka dni.

Zaryzykowałem jeszcze raz, wsiadłem w auto i pojechałem do Düsseldorfu.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – przywitał mnie Lothar. – Byłem pewny, że już nie przyjedziesz. Dostałeś swoje pieniądze?

– Dostałem – odpowiedziałem.

– Fajnie! – ucieszył się. – No to przepłuczmy zęby i chodźmy na budowę.

Wypiliśmy po dwa kieliszki i resztę dnia spędziliśmy na rusztowaniach.

Nasza firma prowadziła też drugą budowę w pobliskim Bergisch Gladbach, gdzie urzędował wiceszef z drugim tłumaczem. Któregoś dnia przyjechali do Düsseldorfu i zarządzili:

– My musimy na kilka dni wyjechać do Polski. Niech pan zaraz jedzie do Bergisch Gladbach, bo tam tłumacz jest bardziej potrzebny niż tu.

Spakowałem trochę rzeczy i poszedłem zawiadomić Lothara, że przez kilka dni mnie nie będzie.

– Ty już tu nie wrócisz – powiedział. – Do widzenia i powodzenia.

Wieczorem byłem już w Bergisch Gladbach i następnego rana zgłosiłem się do tamtejszego majstra. Płukania zębów nie było i od raz poszliśmy na rusztowania.

O dziesiątej zeszliśmy na przerwę śniadaniową i w tej samej chwili na budowę weszła policja. Fachowo zablokowała radiowozami wszystkie bramy i dziury w płocie, a trzech mundurowi i jeden cywil przyszedli do baraku, gdzie pracownicy jedli śniadanie.

– Kto tu mówi po niemiecku? – zapytał cywil.

– Ja. Jestem tu tłumaczem – odpowiedziałem.

– Niech pracownicy przyniosą swoje paszporty – zakomenderował. – I niech nie próbują uciekać, bo cały teren jest obstawiony – dodał.

Stół, przy którym pracownicy dopiero co zaczęli jeść śniadanie, został zmieniony w miejsce urzędowania niemieckich władz. Zasiadł za nim cywil, który był z urzędu pracy i jeden z policjantów, pozostali dwaj mundurowi stanęli w drzwiach.

– Niech ludzie podchodzą tu kolejno z paszportami, a pan będzie tłumaczył – powiedział cywil.

Robotnicy podchodzili jak baranki na rzeź, a urzędnicy pytali o nazwiska, zawody i czas pobytu na budowie. Cywil zapisywał wszystko w swoim kapowniku, a policjant sprawdzał zezwolenia na pracę. Paszporty w których ich nie było, ładowały w jego teczkę.

Ja też nie miałem zezwolenia, ale na razie przepytywani byli inni. Stałem więc obok stołu, powtarzałem nazwiska, zawody i daty, a mój mózg gorączkowo szukał odpowiedzi na pytanie: co teraz będzie? Niestety, odpowiedź była tylko jedna: zabiorą paszport, wbiją do niego miśka, czyli zakaz wjazdu do Niemiec i każą natychmiast wyjechać. Rugałem sam siebie w duchu za moją głupotę, naiwność i pazerność

na pieniądze.

Podszedł ostatni robotnik, podał swoje dane i jego paszport też trafił do policyjnej teczki.

– Czy to już wszyscy? – zapytał policjant.

– Wszyscy – odpowiedziałem automatycznie i wtedy do mnie dotarło, że o mnie zapomniano.

Może to niemieckie poczucie porządku nie dopuściło do urzędniczych umysłów podejrzenia, że tłumacz może nie mieć zezwolenia, a może był to tylko szczęśliwy dla mnie przypadek. Tak czy inaczej, byłem uratowany i raz na zawsze oduczony pracy na czarno.

– Zatrzymane paszporty będą do odebrania za trzy godziny na posterunku, a ich posiadacze muszą w ciągu doby opuścić Republikę Federalną. Reszta może wracać do pracy. Do widzenia – zakończył urzędowo policjant.

Załoga została przetrzebiona prawie do połowy, a reszta nie wiedziała, co ma robić. Zniknął też gdzieś niemiecki majster.

– Tu niedaleko jest bar, do którego on chodzi na piwo – poradził brygadzysta.

Poszedłem tam i znalazłem Niemca już dobrze wstawionego.

– Róbcie, co chcecie – powiedział. – Ja już tam dzisiaj nie wracam. Przez was będę miał kłopoty i może nawet wylecę z pracy – dodał i wychylił kolejnego sznapsa.

Po powrocie na budowę powiedziałem pracownikom, że ja też już do pracy nie wracam i pojechałem do Düsseldorfu.

Lothar był jeszcze na budowie, więc opowiedziałem mu, co się stało w Bergisch Gladbach.

– A mówiłem, że już nie wrócisz – powiedział. – W takim razie jutro policja będzie też tutaj – dodał i zaklął siarczyście.

Strach padł na pracowników w Düsseldorfie, bo większość z nich też nie miała zezwoleń na pracę. Jedni chcieli od razu wyjeżdżać, inni radzili poczekać do powrotu kierownika, a wszyscy pytali mnie o radę.

– Róbcie, co chcecie – powiedziałem. – Ja zaraz wyjeżdżam, bo drugi raz już mi się nie upiecze.

Po całonocnej jeździe dotarłem szczęśliwie do domu i zaraz zadzwoniłem do właściciela firmy.

– Co tam słysząc w Bergisch Gladbach? – zapytał.

– Jestem już w Polsce, bo wczoraj policja przetrzepała budowę. Pański zastępca na pewno się tego spodziewał i specjalnie mnie wystawił! – krzyknąłem w słuchawkę.

– No, co pan? – usłyszałem w odpowiedzi, ale w jego głosie nie było ani nutki zaskoczenia.

– Jutro przyjeżdżam po pieniądze, a jak ich nie będzie, to wszystko zgłaszam na policję – powiedziałem i rzuciłem słuchawkę.

Nazajutrz sekretarka miała dla mnie przygotowane pieniądze, natomiast szefa nie było, bo starym zwyczajem wyjechał właśnie na kilka dni.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 27.02.2022 10:38

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.